

Emigrantka na raty

(autorka: **joolka4**)

Z Włoch najlepiej pamiętam widok z okna na Zatokę Neapolitańską i Wezuwiusza a przy tym wszechobecną samotność. Z Wielkiej Brytanii – spotkania z przyjaciółmi w hinduskiej restauracji Nepalczyka pana Lamy. A z Niemiec – niezyczliwość skrytą za uśmiechem. Ale może jestem tu zbyt krótko, nie znam jeszcze języka, nie mam nawet znajomych o przyjaciółach nie wspominając. Może dlatego jestem wobec Niemców trochę niesprawiedliwa. Może...

„Na jednym miejscu i kamień mchem obrasta”

W czerwcu 1989 roku, kończąc studia dziennikarskie na Uniwersytecie Śląskim, w lokalu wyborczym w Katowicach – Ligocie głosowałam za wolną Polską. W ten dzień „wolna” miała dla mnie kilka znaczeń. Również to, że nareszcie będę mogła spełnić jedno z młodzięcych marzeń – o podróżowaniu. Wcześniej mój świat, z wiadomych przyczyn, był ograniczony do Polski.

Żeby być uczciwym, powinnam wspomnieć, że miałam za sobą dwa zagraniczne wyjazdy. Pierwszy jeszcze jako dziecko, na Ukrainę, do Kołomyi. Stamtąd pochodzą rodziny obydwójga moich rodziców. W gorszych czasach, kiedy wszystkiego brakowało, babcia wspomagała naszą rodzinę handlem. Z Ukrainy, a właściwie ZSRR, przywoziła złoto, jakieś urządzenia kuchenne, kilimy, alkohol.... Kiedyś zabrała mnie ze sobą w taką podróż. Miałam wtedy siedem, osiem lat i dziś niewiele z tego pamiętam. Drugi wyjazd - w klasie maturalnej wycieczka do Czechosłowacji i zwiedzanie Pragi. I prowokowanie wieczorem ludzi na kempingu głośnym śpiewaniem „Jak mawiał wódz Słoneczko Stalin”, gdzie refren brzmiał „Wilno zdobędziemy Lwów odbijemy”. Nie wiem czy ktokolwiek nas rozumiał ale my, osiemnastolatki z polskiej prowincji, byliśmy dumni z naszej odwagi. (Był to wszak rok 1981, tuż przed stanem wojennym.)

Teraz szeroki świat stawał przede mną otworem. Tyle się nasłuchiwałam o tym „zgniłym” jeszcze całkiem niedawno zachodzie. Nie chciałam poprzestać na tej wiedzy, chciałam to sprawdzić. Zobaczyć jeszcze więcej.

Neapol

Początek lat dziewięćdziesiątych był dla mnie trudny. I to nie ze względów materialnych ale emocjonalnych. Marzenia o podróżach musiałam czasowo zawiesić na kołku, bo aby gdziekolwiek pojechać potrzebne były pieniądze. Potem nagle spadło na mnie kilka osobistych nieszczęść - w jednym roku śmierć mamy, dziadka i kilkumiesięcznego bratanka. W pracy nie przedłużono mi umowy, chociaż początki miałam błyskotliwe i byłam nabytkiem rokującym spore nadzieje. Nagle zostałam sama jak palec i nawet nie mogłam się wypłakać mamie na kolanach. Wtedy zupełnie nieoczekiwanie zatelefonowała do mnie koleżanka ze studiów Maryla. I to skąd? Z Włoch, z Neapolu. Nawet nie musiała mnie namawiać, sama się pchałam żeby do niej dołączyć. Pieniądze na wyjazd dała mi babcia, załamana po śmierci jedynej córki a teraz żegnająca ukochaną wnuczkę.

Z trzydziestu godzin w autobusie większość spędziłam z nosem przyklepionym do szyby. Austria, Włochy... Te kraje znałam jedynie z mapy. Z autostrady niewiele było widać ale mnie wystarczała sama świadomość.

Dzisiaj, pisząc te słowa uświadamiam sobie, że moje ówczesne patrzenie na świat było wręcz dziecinne. Życie powolutku wstawiało mnie na bardziej dorosłe tory. Zaczęło właśnie we Włoszech.

Po przyjeździe do Neapolu okazało się, że rodzina do której jechałam, właściwie już mnie nie potrzebuje. Znaleźli sobie kogoś innego, mówiącego po włosku. Zostałam tam dwa dni, podczas których moi „nowi właściciele” zastanawiali się, co ze mną zrobić? Wieczorem, drugiego dnia mojego pobytu we Włoszech zostałam „przekazana” ich dalekiej kuzynce Franczesce. Bóg mi świadkiem, że Franczeska nie potrzebowała niczyjej pomocy, ani w domu ani przy dzieciach. Mieszkała bowiem w małym mieszkanku (jak na włoskie warunki oczywiście) miała dwóch synów i nie pracowała zawodowo. Dodatkowo nie miała pieniędzy, gdyż była w trakcie rozwodu. Bardzo zresztą tego rozwodu nie chciała ale jej mąż, z tego co udało mi się zrozumieć, znalazł sobie młodszą wersję „Franczeski”, a alimentów na tę starszą i dzieci jeszcze nie zaczął płacić. Więc ona mi również nic prawie nie płaciła. Jej zdaniem było to fair. Miałam przecież gdzie mieszkać i co jeść. Nie miałam też wiele do roboty, a jak zostawałam z dziećmi, wystarczała im telewizja.

Ale miało mieszkanie u Franczeski swoje dobre strony. Przede wszystkim poznałam prawdziwą włoską kuchnię. Bo Franczeska, pomimo iż większość czasu spędzała na pielęgnowaniu i eksponowaniu swojej urody (musiała przecież niedługo rozpocząć polowanie na nowego i to bogatego męża) to dla swoich dwóch synów gotowała codziennie prawdziwe włoskie obiady. Gdyż dla Włoszki, szczególnie tej z Południa, syn jest radością życia, oczkiem w głowie, osobą specjalnej troski i to bez względu na wiek.

Dotyczy to w takim samym stopniu kilkuletnich brzdąców jak i trzydziestokilkuletnich byków. O Madonna mia!

Po kilku tygodniach egzystowania u Franczeski doszliśmy do wspólnych wniosków. Jej nie stać na luksus utrzymania mnie, mnie nie stać na luksus pracowania u niej za darmo. W ten sposób trafiłam do Fiorelli. Fiorella dysponowała przestronnym mieszkaniem z portierem oraz sześciolatkiem synkiem Alessiem i mężem Fabiem. O obydwu bardzo dbała, moimi rękami oczywiście.

Fiorella była przeciwieństwem pulchnej, wylewnej i spontanicznej Franczeski. Chuda, małowówna, traktująca mnie jak użyteczne urządzenie w jej wygodnym mieszkaniu. Nie wymagała jednak cudów a moim najważniejszym zadaniem było zajmowanie się Alessiem, by Fiorella mogła zajmować się swoim mężem Fabiem.

Do roboty nie miałam wiele. Alessio chodził do ichniej zerówki i nie było go w domu do godziny 17-tej. Potem jedzenie, obowiązkowo telewizja, jakieś gry i do łóżka, bo przed siódmą rano już musiał z Fiorellą jechać do szkoły. Na weekendy cała rodzinka często wyjeżdżała, więc miałam dla siebie sporo czasu. Pomimo tego nie mogłam wychodzić z domu, oprócz wyznaczonych dni i godzin. Wtedy dopiero poczułam, co znaczy samotność. Jedyłą osobą, którą znałam w Neapolu była Maryla. Ale i ona pracowała u włoskiej rodziny i kontakt z nią był ograniczony. Czasami telefonicznie. No i podczas cotygodniowego wychodnego. Spacerowałyśmy wtedy deptakiem nad Zatoką Neapolitańską. Było to ulubione miejsce niedzielnych spotkań pań, pracujących we włoskich domach. Tam też usłyszałam kilka różnych historii o wyzysku „polskiej” siły roboczej. O tym, że niektóre dziewczyny pracowały po siedem dni w tygodniu za kilkaset lirów. Na przykład Anna spod Lublina codziennie musiała sprzątać piętowy dom, i to z odsuwaniem wszystkich łóżek i szafek, podczas gdy właścicielka patrzyła jej na ręce i udowadniała, że niemożliwe jest możliwe.

To były historie z typu „łagodnych”. Ale zdarzały się i te „hardcorowe” kiedy Polkom odbierano paszporty, straszono je deportacją, zabraniano kontaktów z rodziną i oczywiście nie płacono za pracę. Nielegalny pracownik, niestety, nie ma wielu praw a taka była wtedy sytuacja Polek we Włoszech.

Ja jednak nie musiałam, jak większość tych pań, pracować na rodzinę w Polsce by miała co do gara włożyć, więc po pół roku zaczęłam powoli pakować manatki. Fiorella mnie specjalnie nie zatrzymywała. O nową pomoc domową na lokalnym rynku pracy nie było trudno. Wystarczyło popytać wśród znajomych czy pójść na jeden z lokalnych „piazza”, gdzie odbywał się swoisty targ kobiet do pomocy w domu z Polski.

A propos „piazza”. To właśnie na piazza Garibaldi wydarzyła się jedna z zabawniejszych historii. Generalnie miejsce to raczej nie cieszy się najlepszą sławą. Trzeba uważać nie tylko na portfele ale i na torebki, na które namiętnie polują młodzieńcy na skuterach

zwanych piaggio. A jak złapią łup to nie puszczają. Potrafili wlec za sobą kobietę nawet kilkanaście metrów i to zwykle ona rezygnowała z walki o swoje mienie.

Piazza Garibaldi był też największym targowiskiem Neapolu. Można tam było kupić wszystko, czego dusza zapagnie. A ja zapagnęłam torebki z miękkiego, brązowo-zielonego zamszu. – Tu się trzeba koniecznie targować – pouczyła mnie bardziej obyta z miejscowymi zwyczajami koleżanka. No i zaczęłam się targować. Po włosku oczywiście choć język znałam raczej „poco – poco” czyli bardzo słabiutko. Ale targowałam się zawzięcie do czasu aż Maryla mnie kopnęła i stwierdziła, żebym przestała, bo sprzedający proponuje już niższą cenę i teraz ja ją podbijam. Torebkę jednak kupiłam w dobrej cenie. Mam ją do dzisiaj.

Z perspektywy czasu mój „włoski epizod” wspominam mile. Wycieczki nad Zatokę, do Pompei, Sorrento... Sylwester i Nowy Rok 1992/93 wprowadzie samotny, bo Fiorella z rodziną pojechali na narty w Alpy, ale za to z widokiem na Wezuwiusza i statki w zatoce wybuchające tysiącem sztucznych ogni. Tego się nie zapomina...

Londyn

W Polsce wytrzymałam niewiele ponad pół roku. Próbowalam odnaleźć się w ówczesnej dzikiej kapitalistycznej rzeczywistości. Na początek znalazłam sobie nietypowe zajęcie, które również nietypowo się skończyło. Otóż w moim mieście czyli Kluczborku na Opolszczyźnie powstała agencja detektywistyczna. Zaczęłam tam pracować. Ale nie było to tak ekscytujące jak sobie wcześniej wyobrażałam. Główną działalnością agencji było ściąganie długów. Jej żywot był krótki i zakończony raczej mało przyjemnie – mianowicie nasz szef i właściciel firmy zniknął pewnego pięknego dnia wraz z utargiem z pawilonu monopolowego, który miał bezpiecznie odwieźć właścicielowi. Kilka tygodni później trafił za kratki, złapany na wydawaniu ukradzionych pieniędzy. A ja zostałam na lodzie, znowu bez pieniędzy i perspektyw.

Siłą sprawczą mojego wyjazdu do Londynu była również Maryla. Zadzwoiła kiedyś do mnie informując, że w Londynie jest zupełnie inaczej niż w Neapolu. Mieszka się samemu a nie u rodziny, jest sporo Polaków a i jakaś praca się znajdzie. Dodała też, że już musi kończyć bo właśnie jedzie na Wembley na koncert Jean Michel Jarre’a. Wow, to było coś! W podróży na Wyspy Brytyjskie towarzyszył mi poznany niewiele wcześniej kolega. Dzisiaj jest moim mężem i ojcem mającej się urodzić na początku sierpnia córeczki(?). Pierwszy szok przeżyliśmy już w autobusie, gdy przewodniczka poinformowała podróżnych – Teraz proszę przygotować zaproszenia, listy od rodziny, pieniądze, to wszystko co pozwoli państwu przejść kontrolę imigracyjną. Tymczasem żadne z nas nie dysponowało czymś takim. Ja miałam wprowadzie zapisany adres do wujka w Leeds,

jednak nigdy nie wiedziałam go na oczy a i on, być może, nie wiedział nawet o moim istnieniu. Marek miał jedynie trochę pożyczonych pieniędzy. Nie wiem, co przekonało oficera imigracyjnego, że nas jednak wpuścił do Wielkiej Brytanii. Na pewno nie mój angielski, który w konfrontacji z tubylcem okazał się cieniutki jak Polsilver.

Potem znajomi opowiadali mi, że Polacy przyjeżdżający do Londynu wiozą w swoim bagażu różne „ciekawe” z punktu widzenia oficera imigracyjnego rzeczy. Na przykład niejaka pani Marianka, która miała pracować jako pokojówka w hotelu, wzięła ze sobą kilka fartuszków a nawet ścierki. Nasz kolega Grzesiu, zwany też Białoruśką gdyż był niedościgniony w kopaniu rowów, wiół ze sobą pół torby roboczych rękawic. On się jednak wyłgał, głównie za sprawą wuja, który w Anglii mieszkał od wielu lat i wręcz zrugął oficera imigracyjnego za grzebanie w bagażu bratanka. Takich historii było oczywiście wiele i równie wiele zakończyło się powrotem do Polski już z Dover czyli z angielskiej granicy. Trzeba pamiętać, że był rok 1993 i Polsce jeszcze daleko było do Wspólnej Europy.

Maryla okazała się przyzwoitą koleżanką i wynajęła nam pokój, mieliśmy się więc gdzie przytulić głowy, gdy w październikowe popołudnie przywitał nas Londyn. Niestety praca, którą Maryla dla mnie znalazła, okazała się nieaktualna i byłam zdana na własne siły w znalezieniu nowej. Podobnie jak Marek, którego na dodatek kilka dni później okradziono w metrze z prawie wszystkich pieniędzy.

Pierwszych dwadzieścia miesięcy naszego pobytu w stolicy Anglii upłynęło raczej monotennie. Zamieszkaliśmy w tzw. polskim domu na Twyford Avenue na Ealingu czyli dużej willi podzielonej na malutkie pokoiki i wynajmowanej głównie rodakom. Właścicielką była też Polka, tyle że z angielskim paszportem, niejaka pani Tereska. Oczywiście oszczędzała na nas jak mogła, a mogła, na przykład zimą przykręcać ogrzewanie. Poza tym nie inwestowała w dom, który i tak przynosił jej „grube” pieniądze, za pokój trzeba było zapłacić tygodniowo, w zależności od wielkości, od 30 do 50 funtów. Za tę kwotę mieszkający tam, w porywach od 10 do 15 osób, mieli do dyspozycji jedną wspólną kuchnię i dwie łazienki.

I chociaż generalnie nie mam zbyt dobrych doświadczeń z rodakami za granicą to fakt, iż na początku zamieszkaliśmy w „polskim domu” okazał się korzystny. Niestety, tylko na początku. Ale o tym potem.

Dzięki podpowiedziom współmieszkańców i gazetom udało mi się trafić do agencji, zajmującej się sprzątaniami domów. Na początku stawka niewielka – 3.50 funta za godzinę. Pozwalała jednak zacząć normalne życie, bez troski o to czy będzie z czego zapłacić czynsz za kolejny tydzień. Zjeździłam wtedy prawie cały zachodni i północny Londyn. Sprzątałam hinduskie, przeładowane ozdobami i meblami domy na Park Royal, koszerne, żydowskie siedziby na Golders Green i arabskie na Chiswicku. Były też domki

angielskie i mieszkania „szalonych” Amerykanek. Malutkie fragmenty etnicznego tygla ośmiomilionowej londyńskiej kosmopolitycznej społeczności.

Markowi układało się różnie, na początku raczej gorzej. Zdarł buty roznosząc ulotki za kilkanaście funtów dziennie plus darmowa pizza od właściciela knajpy. Potem były różne fuchy, głównie budowlane bo w tej właśnie branży pracowało wielu naszych rodaków.

Niewiarygodne, jak szybko człowiek zapomina twarze i miejsca, co do których kiedyś był pewien, że pozostaną w pamięci na zawsze. Na szczęście są jednak fotografie. Właśnie odłożyłam na półkę dwa opaste albumy ze zdjęciami – twarze ludzi, miejsca, zdarzenia...

Miejsca pamięta się chyba najlepiej. Na początku te najbliższe – dom, ulica, dzielnica, zachodni Londyn, City... Świąteczna przejażdżka łodzią po Tamizie, polski kościół na Ealingu, polski sklep na Putney, gdzie kupowało się tańsze papierosy z przemytu. Słynny POSK czyli Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny, obok którego funkcjonuje słynna „ściana płaczu” w witrynie hinduskiego sklepu. Czasami też i nam przyszło tam zerkać i szukać ofert pracy...

Z ludźmi jest gorzej. Przychodzili i odchodzili. Jedni na kilka dni, tygodni. Inni na dłużej. Powody ich wyjazdu za granicę bywały różne. Najbardziej komfortowo żyli ci, którzy przyjechali tylko po to, by szlifować język. Jak na przykład Ela czy Michał, dwudziestokilkulatkowie z dobrze sytuowanych rodzin. Szybko znajdowali pracę i to taką lepszą a większość czasu spędzali w szkole.

Było też wiele młodych par, formalnych i nieformalnych. Przyjechali do Londynu by zapracować na własne M ileś tam. Skrupulatnie, grosz do grosza, składali też ci starsi, którzy wysyłali do Polski ciężko zarobione funty, by utrzymać rodziny. W naszym domu na Twyford i tak nie było najgorzej. Człowiek nasłuchiwał się opowieści o miejscach, gdzie można się było przespać za kilkanaście funtów na tydzień, z tym że łóżko zajmowało się rotacyjnie. Po co miało się marnować, skoro i jego właściciel i tak z jednej pracy pędził do drugiej.

Byli też inni Polacy, ci którzy dawno tu osiedli i teraz „dawali” pracę. Niektórzy byli OK. Tak jak właścicielka agencji „cleaning lady’s” pani Teresa, u której na początku pracowałam. Ale było też wielu nieuczciwych, wykorzystujących fakt, że rodacy z Polski pracują na czarno. Ile razy słyszało się historie, jak to po skończonej robocie „polski pracodawca” zamiast do kieszeni po wypłatę sięgał po telefon i dzwonił do Home Office’u z informacją o nielegalnie zatrudnionych. A to znaczyło – żadnych pieniędzy tylko darmowy (na szczęście) bilet w jedną stronę bez możliwości powrotu. To oczywiście bardziej drastyczne przypadki. Byli też tacy, którzy płacili co tydzień niewielkie zaliczki, obiecując wypłatę w najbliższym czasie. I człowiek chodził to pracy za te marne parę funtów, bo przecież ją miał (co wcale nie było łatwe) i chciał wierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Czasami taka zwłoka w wypłacie nie była wynikiem złej woli miejscowego pracodawcy, bo i oni, bywało, wpadali w tarapaty. Wszystko zależało od determinacji

wyzyskiwanych. Znam w Londynie jednego pana, który już do końca życia będzie musiał nosić brodę. Dlaczego? Ano dlatego, że paru pracowników okazało ikrę i przejechało mu po gardle nożem a to zostawia paskudne blizny. Po tym incydencie nie zdarzyło się, by „zapomniał” w piątek po południu wręczyć swoim pracownikom koperty z pieniędzmi. Taki był ówczesny emigracyjno – zarobkowy Londyn.

My czyli Marek i ja, sami tak do końca nie wiedzieliśmy, do której kategorii się zakwalifikować. Najpierw skupiliśmy się na zarabianiu pieniędzy. Z pracą nie było najłatwiej, więc nie było co odkładać. Po jakimś czasie praca do wieczora a oglądanie telewizora wieczorem przestało nam odpowiadać. Wysupłaliśmy więc pieniądze na szkołę językową, naszym zdaniem najlepszą, w City – na Callan School. Tam zaczęliśmy poznawać innych ludzi, dla których istniała nie tylko praca ale i życie towarzyskie. Tam poznaliśmy Matta. U Callana uczył angielskiego. Zatrudniono go bo miał niezły akcent chociaż pochodził z Australii. Najpierw dawał nam, za grube pieniądze, dodatkowe prywatne lekcje konwersacji. Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się. Długo nie zapomnę, jak leżałam w zaciemnionym pokoju z wbitymi na kilka centymetrów w różne części ciała igłami. Matt bowiem okazał się studentem medycyny, który zwiedził już pół świata a akupunktury uczył się Chinach.

Być może to znajomość z Mattem sprawiła, że zapragnęliśmy innego życia i postanowiliśmy starać się o wizę emigracyjną do Kanady. Wszystko szło dobrym torem do czasu ostatecznej eliminacji – czyli rozmowy z panią w ambasadzie. Ta potraktowała nas jak uprzykrzone muchy twierdząc, że za słabo władamy angielskim. Tym samym zamknęła nam przed nosem drogę do kraju „pachnącego żywicą”. To smutne doświadczenie kosztowało nas sporo nerwów i jakieś 800 funtów, bo tyle trzeba było zapłacić za możliwość starania się o kanadyjską wizę. Jednym naszym znajomym powiodło się lepiej, z tym że oni chcieli jechać do Nowej Zelandii i ten kraj przyjął ich z otwartymi rękami.

I tak nam się żyło, raz radośniej raz smutno, w malutkiej polskiej enklawie na Twyford Avenue na Ealingu. Do czasu.

Po tylu latach wciąż nie wiem, kto na Twyford Avenue otworzył wejściowe drzwi urzędnikom imigracyjnym. Nie wiem też, czy ich wizyta w naszym domu była przypadkowa czy „nasłana”. Nie wiem, dlaczego nikt nas nie ostrzegł, że w domu „grasuje” Home Office. A że prowadziliśmy pokój otwarty, na pukanie bez wahania zawołaliśmy „proszę”. I od razu znaleźliśmy się w innym świecie. Dlaczego – bo nasza wiza już była nieważna, co z tego że zaledwie kilkanaście dni. Nie umiem nawet dzisiaj powiedzieć, dlaczego machnęliśmy ręką na jej przedłużenie (wcześniej bardzo tego pilnowaliśmy). W każdym razie w jednej chwili staliśmy się przestępcami. Oficerowie po cywilnemu zaczęli rewidować nasz pokój a my dostaliśmy pół godziny na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy.

Złe wspomnienia staram się prędko wyrzucić z pamięci. Nie zawsze mi się to udaje, ale gdy dzisiaj próbuję sobie przypomnieć ciąg dalszy tego nieprzyjemnego dnia, mam trudności. Pamiętam jedynie, że zabrano nas gdzieś i przesłuchano. Przyznałam się wtedy, ku niezadowoleniu Marka, do nielegalnej pracy. Potem było niedługie oczekiwanie i odlot do kraju na koszt królowej. O ironio, był to mój pierwszy lot samolotem. Na pokładzie nikt nas specjalnie nie pilnował. Byliśmy tylko pozbawieni paszportów. Stewardesa oddała nam je już po wylądowaniu na polskiej ziemi, podczas wysiadania. Na Okęciu czekał na nas znużony WOP-ista i po chwili rozmowy byliśmy już wolni.

Nie będzie jednak Angol pluł nam w twarz i wyrzucał ze swojego kraju, nawet będąc na swoim prawie. Decyzja o powrocie do Londynu zapadła niemal natychmiast. Naszą jedyną szansą był przyjazd na Wyspy przed upływem dwóch tygodni. Tyle czasu ponoć zajmowało urzędnikom wprowadzenie do komputera danych osób deportowanych. Włożyliśmy więc stare paszporty do pralki i wyruszyliśmy po nowe. Marek miał szczęście, jemu wyrobili nowy dokument prawie od ręki. Mnie kazano czekać prawie miesiąc. Wtedy też, w Urzędzie Paszportowym w Opolu, wręczyłam swoją pierwszą i ostatnią w życiu łapówkę. Chyba było to 100 złotych. I paszport miałam dosłownie w godzinę.

Do wyjazdu przygotowaliśmy się starannie a jako środek lokomocji wybraliśmy samolot, obowiązkowo z wykupionym biletem powrotnym. Udało się. Tego majowego popołudnia 1995 roku na lotnisku Heathrow stanęła para bardzo szczęśliwych ludzi. Jedna osoba z tej pary trochę się chwiała, bo w samolocie nadużyła „środka uspokajającego”. I to nie byłam ja.

Sama nie wiem dlaczego tak nas do tej starej Anglii ciągnęło ale obydwójce uznaliśmy, że jest to kraj, w którym możemy zostać nawet na zawsze. Od razu jednak postanowiliśmy, że teraz wszystko będzie inaczej. Koniec z „polskimi domami”. Po dwóch tygodniach poszukiwań zamieszkaliśmy u Boba, Hindusa urodzonego w Londynie.

Nie zerwaliśmy wszystkich więzów ze starymi znajomymi. Prędko znaleźliśmy jednak nowych. Po sąsiedzku mieszkali Guss i Rick (czyli swojski Rysiek, który do Wielkiej Brytanii przyjechał z rodzicami mając 3 latka). Ich przyjaciele stali się naszymi przyjaciółmi. Przestaliśmy oszczędzać i zaczęliśmy żyć. Naszym ulubionym miejscem stała się niewielka hinduska restauracja pana Lamy, który przygotowywał dla nas, jako dla stałych gości, specjalne potrawy a na zakończenie wieczoru serwował kawę po irlandzku „on the house”. (Jeszcze 2 lata po powrocie do Polski przychodziły od niego kartki świąteczne a Bóg jeden wie, skąd zdobył nasz adres.) Od razu też pojawiła się lepsza i wyżej płatna praca. A w dal odeszło widmo pukających do drzwi oficerów imigracyjnych. Tak minął ponad rok z okładem. Niezłe się bawiliśmy ale nie szliśmy do przodu. Byliśmy zawieszani w tymczasowości. Uświadomiliśmy to sobie pewnego dnia, gdy w sklepie zobaczyliśmy takie ładne meble. Aż oczy rwało żeby kupić. Tylko po co?

Kupić i gdzie wstawić? Do tego małego wynajmowanego pokoju? Wtedy powoli zaczęła zapadać decyzja o powrocie.

Teraz Polska 1996

Dużo czasu zajęło nam przyzwyczajanie się do rodzimej rzeczywistość. Mnie poszło prędzej, pewnie dlatego, że zaraz po powrocie dostałam dobrą pracę i to w zawodzie. Markowi gorzej ale powoli, bardzo powoli i on zaaklimatyzował się. Przyznam jednak, że trudno było po trzech latach życia w kilkumilionowym Londynie odnaleźć się w 28-tysiecznym miasteczku na polskiej prowincji. Realizowałam się jednak w pracy zawodowej i spełniałam młodzieńcze marzenia –podróżowałam! Było więc Eslov/Lund w Szwecji i Santander w Hiszpanii – w ramach przedakcesyjnego poznawania tamtejszych systemów oświatowych. Były Stany Zjednoczone – jako nagroda za pierwsze miejsce w ogólnopolskim konkursie, potem Kosowo – jako obserwator OBWE tamtejszych wyborów, wcześniej szkolenie w Grecji, nad Morzem Egejskim. Wreszcie były wyjazdy z miejscowymi samorządowcami – do Niemiec, na Ukrainę, na Litwę... No i oczywiście kilka razy unijna Bruksela.

W zawodzie też wiodło się nie najgorzej. Bywały nagrody i uznanie w środowisku, był szacunek lokalnych władz. Może w skali krajowej to niewiele ale wołałam być „pierwszą w mieście niż ostatnią w Rzymie”. I tak było. Do czasu.

Marek wspiał się dość szybko po szczebelkach kariery i dostał propozycję pracy w Niemczech. Zdecydowaliśmy się na nią, między innymi dlatego, że po kilku latach starań zaszłam wreszcie w ciążę a lekarze zalecali na cały jej czas zwolnienie lekarskie. Był też powód kolejny – egzystencja w Polsce zaczęła mnie ugniatać. Rzeczywistość skrzeczała – ta najbliższa, lokalna małoobjęzyczna. I ta krajowa; śledcza, skorumpowana, zawistna, samolustrująca się. Nie znaczy to wcale, że chcę żyć w przedsionku nieba. Chcę tylko trochę normalności!

Kerpen (12 km od Kolonii)

Jestem tu zaledwie 3 miesiące ale wcale mi się nie podoba. Może spodziewałam się innych Niemiec. Mieszkamy w przyzwoitym małym miasteczku, w „dobrym” domu, usytuowanym w „dobrym” miejscu. Jeszcze nigdy za granicą tak dobrze nam się nie powodziło. A pomimo tego jestem niezadowolona. Bo ludzie tu jacyś inni. Mało życzliwi.

Już pierwszego dnia pani z pieskiem, dzisiaj wiem że lokatorka z IV piętra, zwróciła nam uwagę nieprzyjemnym tonem, że pod same drzwi nie można podejźdzać choć widziała, że chcieliśmy w ten sposób skrócić drogę bagażu z auta do domu.

Nie minęły dwa dni a do właścicielki naszego wynajmowanego mieszkania przyszedł donos, że wnosząc meble na górę poniszczyliśmy całą klatkę schodową. I żeby to jeszcze była prawda! Ale wszystkie nasze meble wjechały na 3 piętro windą i nie miały szans na kontakt ze ścianami klatki schodowej. „Nie przejmujcie się – usłyszeliśmy od mieszkających tu znajomych – do tego trzeba się przyzwyczać. To naród donosicieli.” Od tego czasu oczekujemy kolejnych przykrych niespodzianek. No ale dopiero jesteśmy tu trzy miesiące. I nie wiadomo jak długo zostaniemy. Więc chyba trzeba się powoli przyzwyczajać...

Chcę wrócić, ale do innej Polski

Mieszkając na obczyźnie, zawsze najprzyjemniejsze były dla mnie te chwile, kiedy spotykałam się z rodakami. W Londynie nie było to trudne, tu w Niemczech bywa różnie... Dlatego cześć i chwała projektowi partnerskich miast. To właśnie dzięki temu mogłam kilka tygodni temu spotkać się w odległym od Kerpen o 200 kilometrów Bad Duerkheim (Nadrenia – Palatynat) z wesołą gromadką mieszkańców mojego rodzinnego Kluczborka. Tam też poznałam „innych” Niemców - życzliwych, szczodrych, serdecznych... Może to ten południowy klimat a może „partnerschaft”. Nie wiem ale był to, jak do tej pory, mój najcudowniejszy weekend w Niemczech.

Co do rodaków jednak, muszę przyznać szczerze, że nie zawsze się do nich przyznawałam, szczególnie jeżeli zrobili w okolicy jakąś „siarę”, na przykład kradli lub coś w tym stylu... Ale nigdy nie wstydziłam się tego, że jestem Polką.. Teraz w Niemczech jeżdżę samochodem na „polskich blachach” co nie zawsze budzi sympatię gospodarzy, zarówno Niemców jak i osiadłych tu z dawien dawna Polaków. Jeden to nawet zakrył szmatką nasze tablice rejestracyjne, by któryś z sąsiadów nie pomyślał, że pracują u niego nielegalnie Polacy i nie doniósł o tym gdzie trzeba.

Ale równie szczerze przyznam, że trzy miesiące temu wyjechałam z Polski z dużą ulgą. Coś się tam ostatnimi czasy złego porobiło. Nagle z kraju, który zdawało by się zmierza ku normalności, wydała mi się Polska krajem na dużym i to niebezpiecznym zakręcie.

Gdzie się podziała tolerancja, wartość którą cenię bardzo mocno? Jak można obrzucać ludzi najgorszymi obelgami a często jajami czy kamieniami, za to że są inni od nas. A jak jeszcze robią to ludzie, niosący wysoko sztandar „katolickich wartości” to coś mi się mocno nie zgadza. Z polityki zniknęła konstruktywność. Została demagogia i to

najgorszej wody. Komisje śledcze, prokuratury, teczki esbeckie, doniesienia za to, że się kichnęło w niewłaściwą stronę... Ludzie, o co tutaj chodzi?

Prasa, radio, telewizja – jakże często dziennikarze dają głos nie tym, którzy chcą coś wartościowego powiedzieć, tylko ludziom (politykom!) chcącym na kogoś napluć i obrzucić błotem, bo to jest bardziej chwytliwe medialnie. A to jeszcze nie koniec litanii. Policjanci oszukujący i kradnący w ślad za tymi, których powinni ścigać. Lekarze wystawiający bandytom fałszywe diagnozy, pozwalające wyciągać ich z więzień na wolność. Przekupni adwokaci a nawet sędziowie.... I to nasze „cudowne” prawo. Jak pajęczyna – bąk się przebije, mucha uwięźnie. Bo kto tak naprawdę zaludnia w dużej części zakłady penitencjarne? Ludzie, którzy rowerkiem po pijanemu jechali... Należy im się, owszem, ale innym należy się jeszcze bardziej. Ale ci inni mają pieniądze. I znajomości. I możliwości wyślizgnięcia się z tej pajęczyny. Zmęczyła mnie już taka Polska. Chcę wrócić do innej...

Oczywiście, już słyszę zarzut – to co, inni mają ją zmieniać, samemu nie łaska. Bóg mi świadkiem – próbowałam. I to ciężko. Propagowałam w Kluczborku i okolicy jak tylko się dało, ideę „społeczeństwa obywatelskiego”. Nawet za to nagrody ogólnopolskie dostawałam, więc chyba robiłam to nie najgorzej. Działałam w organizacjach pozarządowych i kobiecych. Ale przyglądając się gminnej polityce, widziałam podobne rzeczy jak te „na górze”. Jedna osoba, potrafiąca zniweczyć trud pracy wielu, podważyć wszystko bez zdania racji, zamieszać, pokrzywić i cieszyć się, że innym się nie udało. I tak na każdym kroku. Każdy pomysł torpedowany. I to nie w imię jakiejś idei tylko przeciw, na przykład ludziom, którzy się tego podjęli.

Ale może nie jest tak źle. Przecież z natury jestem optymistką. Z tym, że moja wytrzymałość na „złe wiadomości” wyczerpała się już. Muszę od tego odpocząć. I odpoczywam. Bez dostępu do polskich gazet i telewizji. Spokojnie i bezstresowo. Tego mi teraz trzeba. Na początku sierpnia urodzę (mam nadzieję szczęśliwie) córeczkę, dla której nie wybraliśmy jeszcze imienia, a którą nazywamy na razie Wisiełką. Na wyraźną prośbę kolegi – historyka z Polski, który zażyczył sobie dla niej pięknego słowiańskiego imienia. I Wisiełka, chociaż urodzi się w Niemczech, na pewno będzie mówić po polsku i pozna ojczyznę swoich rodziców.

Nie wiem też dzisiaj, czy w Niemczech pomieszkam jeszcze rok czy lat pięć. A może po drodze będzie jeszcze jakiś inny kraj? Ale do Polski na pewno wrócę. I jawi mi się ona taka jak w „Litanii” Leszka Wójtowicza, choć napisanej dawno, dawno temu, dla mnie wciąż aktualnej.

„Nie pragnę wcale byś była wielką, zbrojną po zęby od morza do morza.

I nie chcę także by cię uważano, za perłę świata i wybrankę Boga

Chcę tylko domu w Twoich granicach, bez lokatorów pukających w ściany,

gdy ktoś chce trochę głośniej zaśpiewać, o sprawach które wszyscy znamy”.

Czy moja Polska będzie kiedyś taka?